

# Mam na imię Walentyna

*Słoneczna Italia, mocne espresso, zniwalająca  
kuchnia i miłość, bez której życie nie ma smaku.*

Katarzyna  
Janus

FILIA



Katarzyna  
Janus

Mam  
na imię

Walentyna

FILIA



*Jeśli się nie przygotujesz, szykuj się na klęskę.*

Benjamin Franklin



*Mojej kochanej Córci,  
która stała się dla mnie inspiracją  
do napisania tej książki*





\*\*\*

Była jak kolorowy ptak. Miała trzydzieści lat i nie poddawała się konwenansom. Czasami miała wrażenie, że ma lat sto, a czasami, że naście. Zależnie od okoliczności. Ale nie zawsze taka była.



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## GDAŃSK

Hotel Gattin. Początek września. Stała przed windą i z niecierpliwością wciskała guzik, jakby to miało coś zmienić, coś ponaglić. Ale winda oczywiście się do niej nie spieszyła. A ona spieszyła się naprawdę. Już od ponad dwudziestu minut trwały wykłady, na które miała zamiar zdążyć, na których jej zależało. Lecz oczywiście nie mogła się wyguzdrać, bo ciuchy, które wczoraj wieczorem tak skrupulatnie sobie przygotowała, zupełnie nie pasowały do jej dzisiejszego nastroju. Były zanadto kolorowe. Dzisiaj miała nastrój granatowo-popielaty. Ale właściwie jakie to miało znaczenie, kogo to obchodziło?

W holu nie było nikogo. O tej porze roku zazwyczaj nie ma turystycznego szalu. Hotelowymi gośćmi byli głównie uczestnicy konferencji dla lekarzy zajmujących się chorobami spichrzeniowymi. W całej Polsce nie było ich wielu, co najwyżej sto osób. A wśród nich ona. Nie żeby ją to specjalnie interesowało. Ot, jak zazwyczaj w jej życiu, tak i tym razem przypadek sprawił, że zainteresowała się tą dziedziną medycyny. A właściwie wiecznie niedyspozycyjna szefowa, która nieustannie na wszystkich spychała swoje obowiązki.

„Gdzie ta winda, do diaska? Czyżby zaanektował ją dla siebie Ferdynand Wspaniały?” – Roześmiała się pod nosem, przestępując z nogi na nogę. Skąd, u licha, naszło ją takie skojarzenie? Pamiętała doskonale z dzieciństwa bajkę o Ferdynandzie Wspaniałym, który wszedł do hotelowej windy, a ta, ku jego niesłychanemu zdziwieniu, nie zatrzymała się na ostatnim piętrze, tylko przeleciała przez dach i wzbiła się w przestworza. A na domiar wszystkiego Ferdynand Wspaniały był psem. Chodził na dwóch łapach, ubrany w elegancki garnitur, a na głowie nosił twarzowy melonik. Zawsze kiedy Walentyna była chora, brała do ręki tę książkę, kładła się na kanapie w niewielkim saloniku w jej rodzinnym domu, zarzucała nogi na oparcie, głowę układała na miękkiej poduszce i przez dłuższą chwilę

napawała się panującą wszędzie ciszą. Rzadko miało to miejsce w ich gnieździe rodzinnym. Ale wtedy rodzeństwo było w szkole, rodzice w pracy, a ona miała cały dom dla siebie. I w takich chwilach z namaszczeniem czytała o Ferdynandzie. Mogła wiecznie wpatrywać się w jego wizerunek, gość ją fascynował.

Pies był szczęśliwy, bo zawsze pragnął być człowiekiem i w końcu stał się nim... na moment. Jak to często w życiu bywa, szczęście jednak nie trwało długo, bo... Ferdynand się obudził.

Tak... szczęście nie trwa wiecznie, a przebudzenie potrafi być naprawdę bolesne. Sama się o tym przekonała.

Stała, uśmiechając się do swoich myśli. Usłyszała cichy szelest zbliżającej się windy. „Wreszcie” – pomyślała. Szare metalowe drzwi rozsunęły się bezgłośnie i zalało ją jasne jarzeniowe światło. W holu panował delikatny półmrok; zamrugwała oczami, chcąc przyzwyczaić wzrok. Spojrzała do wnętrza windy i... pomyślała, że teraz już wie, jak czują się osoby, które ujrzały cud. I na dodatek tak doskonale oświetlony. Naprzeciwko niej, oparty o przeciwległą ścianę windy, stał mężczyzna. Był piękny. Doskonale piękny w tej nieskazitelnej męskiej urodzie. W niedbałej pozie opierał się o przytwierdzony do ściany reling. Ciemnogrnatowy

garnitur w modnym kroju wybornie podkreślał rzeźbę jego ciała, pod nim śnieżnobiała koszula, kołnierzyk rozpięty pod szyją, bez krawata – wyglądał, jakby ktoś go wyciął z żurnala, powiększył i postawił tutaj, ku jej zaskoczeniu. I patrzył na nią bez skrępowania, jak to tylko pewni siebie i swojej urody mężczyźni patrzeć potrafia. Jak chłopak do wynajęcia.

„O mamuniu!” Resztkami silnej woli opanowała się, żeby nie zapiszczyć jak jakaś siusiumajtka na koncercie swojego idola. Kiwnąwszy zatem dystyngowanie głową, z zagadkowym uśmiechem czającym się na jej ustach, weszła do środka. Nie mogła oddychać z wrażenia. Piękny przyjął mniej niedbałą pozę i odwzajemnił jej łaskawie ledwo zauważalny uśmiech. Chciała wcisnąć piąte piętro, ale widocznie jechali w to samo miejsce, bo przycisk z cyfrą 5 migał czerwonym światłem. Stała w przeciwnym kącie windy, jakby się bała, że jeżeli stanie zbyt blisko tego zjawiska, to nieuchronnie się na niego rzuci. Boski zdawał się jej nie zauważać, wyjął z kieszeni telefon i skupił się na wciskaniu klawiszy, jakby to była w tej chwili sprawa niecierpiąca zwłoki. Nie patrzył na nią.

„Hmm... znowu stałam się niewidoczna – pomyślała. – Albo raczej tak bardzo widoczna, że aż niewidoczna”. Za to ona mogła patrzeć do woli. I uruchomiła się

natychmiast jej wyobraźnia. A oczami tej wyobraźni zobaczyła, jak Boski wkłada telefon do kieszeni, spogląda na nią, zmysłowym ruchem zbliża się, opiera swoje doskonale dłonie o ścianę po obu stronach jej głowy i bardzo, bardzo powoli nachyla się w jej kierunku. Przysuwa twarz do jej twarzy, patrzy jej prosto w oczy. Są takie zielone, jak u kota babci Honoraty. Czuła już jego oddech na swojej twarzy (Boskiego, a nie kota, oczywiście), przymknęła oczy w oczekiwaniu na to, co się zaraz nieuchronnie stać miało. Hulaj dusza, piekła nie ma...

Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie, zdezorientowana otworzyła oczy i zobaczyła Cudnego, stojącego na swoim miejscu, nadal w niedbałej pozie, gmerającego w telefonie. Winda zawisła prawdopodobnie między piętrami. Pozapalane klawisze wszystkich pięter migały jak szalone, a ona uświadomiła sobie momentalnie, że zaczyna jej brakować powietrza. Nie miała czym oddychać. Tak jej było spieszno! Po jaką cholerę wsiadała do tej windy?! To było raptem tylko pięć pięter. Co, nie dałaby rady? Przecież nigdy nie jeździ windami! Zawsze chodzi schodami. Bo w windach jest niebezpiecznie. Można spaść. Można się też w nich udusić. Dokładnie tak jak teraz. Czuła zimną strużkę potu spływającą jej po plecach. Zostanie ślad na szarej bluzce. Niech to szlag!

– Niech pan coś zrobi! – powiedziała w panice, a głos jej zadrżał.

Boski uniósł głowę znad telefonu. Nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego.

– Boi się pani jeździć windą? – spytał obojętnie, znowu pochylając się ku klawiszom. Nie widać było, żeby się przejmował sytuacją.

– Nie, nie boję się. – Dumnie uniosła głowę. – Spieszę się tylko, już jestem spóźniona.

– Aha – odpowiedział, wzdychając jednocześnie. Podszedł do guzików na tablicy rozdzielczej, a ruchy miał kocie, hmm... takie zmysłowe. Włączył alarmowy przycisk i gdzieś na zewnątrz, jakby piętro wyżej, rozległ się głośny, świdrujący dźwięk. – Zaraz ktoś nas uratuje, proszę się nie martwić – dodał i znowu wyciągnął z kieszeni komórkę, by klikać w niej coś zapamiętałe.

A ona zaczynała się coraz bardziej irytować. Wiedziała, że nie wszyscy mężczyźni mają mózgi, no ale jednak znaczna część raczej je ma. Szkoda, że tak rzadko ich używają. Po chwili nie wytrzymała.

– Nie denerwuje pana ta cała sytuacja? Jak może pan być taki obojętny? – W głosie nie mogła ukryć rozdrażnienia.

– A co jeszcze mam zrobić? – W jego tonie wyczuła dla odmiany coś jakby rozbawienie i może nutkę irytacji.



– No nie wiem... może zadzwonić po jakąś pomoc? A nie tylko bawić się ciągle tym telefonem. – Emocje coraz bardziej ją ponosiły.

– W windzie nie ma zasięgu.

– A skąd pan wie?

– Właśnie sprawdzałem. Niech się pani uspokoi, nic nam tu nie grozi. W windzie jest wentylacja, nie udusi się pani – mówił to, widząc, że odдыcha coraz szybciej.

– Chyba źle się czuję, nie wiem, czy zaraz nie zemdleję. – Ze zdziwieniem usłyszała swoje słowa. Jakby to nie z jej ust wychodziły.

I nagle facet podszedł do niej, oparł swoje dłonie o ścianę windy po obu stronach jej głowy, nachylił się nad nią, a ona... a ona zamrużyła z niedowierzaniem, nie do końca pewna, czy to znowu wyobraźnia nie płata jej figła. Ale Boski... tylko złapał ją za nos, zaciskając go zdecydowanie ku jej zaskoczeniu.

– Niech się pani tak nie hiperwentyluje, bo zaraz rzeczywiście tu pani padnie. Nie ma co panikować, z pewnością za chwilę ktoś nam przyjdzie z pomocą. Wystarczy tylko cierpliwie poczekać.

I ten jego głos zaczął na nią działać kojąco. Powoli się uspokajała. Po chwili atak paniki minął, oddech zwolnił.

Boski puścił jej nos, odsuwając się od niej jednocześnie. Tak jakoś dziwnie szybko. A ona nie mogła

oderwać od niego oczu, mrugając nieprzerwanie, jakby zaciął jej się właśnie mechanizm sterujący powiekami.

– Dziękuję za pomoc – wykrztusiła, kiedy jej mózg się w końcu ocknął. – Zrobił to pan fachowo. Czym się pan zajmuje, bo chyba nie opieką nad bogatymi starszymi paniami w dobrych hotelach? – O rany, co też ją podkusiło, żeby zadać tak durne pytanie?

– Właśnie tak – odpowiedział poważnie, patrząc jej prosto w oczy.

A ona po chwili złapała się na tym, że gapi się na niego z otwartymi ustami. Co on sobie o niej pomyśli? Niechybnie, że jest upośledzona. Najpierw to mruganie, teraz ta rozdziawiona buzia. Zamknęła ją natychmiast i przełknęła głośno ślinę. Boski znowu pochylił głowę nad cudowną komórką, parszkając dyskretnie śmiechem.

W tym momencie rozległ się donośny dzwonek i winda ruszyła bezszelestnie w górę, a po chwili zatrzymała się na następnym piętrze. Piątym. Wyszli oboje na korytarz. Boski, jak przystało na dżentelmena, puścił ją przodem i kiedy już miała zamiar się oddalić, złapał ją za ramię.

– Czy wolno spytać... – odezwał się tym swoim ak-samitnym, hipnotyzującym barytonem.

– Wolno... – odpowiedziała, nie zatrzymując się i nie patrząc na niego.

– Jak pani ma na imię? – zawołał za nią niezrażony jej zachowaniem.

– Walentyna – rzuciła przez ramię.

\*\*\*

„Tak... Walentyna, nie inaczej – myślała sobie. – Mam na imię Walentyna”.

Leżała na łóżku i machała bosymi stopami, które zwisały jej poza materac. Wpatrywała się w lampę na suficie i rozmyślała. Babcia Honorata zawsze jej mówiła, że jest nieprzystosowana. Tak samo nieprzystosowana jak to jej staroświeckie imię. Jak można było pod koniec dwudziestego wieku dać dziecku na imię Walentyna? A to wszystko przez nieporozumienie. No tak, nieporozumienie. Jej szanowny ojczulek, mający już trzech dorodnych synów, uradowany narodzinami córki, zabłądził do knajpy o nazwie „Trasowa” w drodze do Urzędu Stanu Cywilnego, dokąd zmierzał w celu zarejestrowania swojej nowo narodzonej. Zabłądził, bo spotkał swego kumpla Zenka, z którym uczęszczał do podstawówki. Ten na wieść, że Józkowi urodziła się córka, nie mógł go tak po prostu puścić samego w dalszą drogę i wychylili razem kilka głębszych. Kiedy wreszcie, tuż przed zamknięciem urzędu, fest wstawiony tatuńcio

Walentyna, młoda lekarka, poznaje przystojnego Borysa, który jest niczym marzenie dla wszystkich kobiet. Przeżywa z nim bardzo burzliwy romans. Od początku jednak wie, że nie jest to idealny partner na życie.

Pewnego dnia kobieta trafia na intensywną terapię a przystojny Borys ulatnia się tak szybko, jak się pojawił.

Tymczasem zawsze blisko jest ten drugi. Marcin, mniej piękny, mniej pożądanym, mniej rozchwytywany przez kobiety.

Los rzuca ich do słonecznej Italii, gdzie poza pięknymi widokami, pyszną kuchnią i mocnym espresso zastaje ich trzęsienie ziemi.

Czy uda im się przetrwać? Czy pokonają wszystkie przeciwności losu?

Klub książki

ONA  
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIOTEKA.PL

**FILIA**

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8280-827-8



9 788382 808278